

# TERESA GOŁĘBIOWSKA

## WSPOMNIENIA

© ARCHIWUM WISKOŁNIE

### 1. Połudionowka.

Nazywam się Teresa Gołębiowska, z domu Schiffler; urodziłam się w 1922 r. Ojciec i matka byli nauczycielami, uczyli w szkole podstawowej <sup>w Krynkach</sup>. Miałam pięcioro rodzeństwa: 4 braci i 1 siostrę. W marcu 1941 r. Ojciec został aresztowany - siedział w więzieniu bolszewickim, a nas 20 czerwca 1941 r. wywieźli na Sybir. W zamkniętym wagonie towarowym, w którym nas wieziono, jechało ponad 30 osób z bagażem. W składzie transportu, którym nas wywieziono z Krynek, jechał wagon NKWD oraz sklepik żywnościowy, w którym można było coś kupić na postojach. W drodze żadnego wyżywienia nam nie wydawano.

Po kilku tygodniach jazdy pociągiem, a potem statkiem, trafiliśmy do Połudionowki koło Białego Jaru - w okręgu Marymskim. Tam był kołchoz, im. Czapajewa, w którym wszyscy pracowaliśmy /prócz Matki/ - na roli, przy karczowaniu tajgi, potem przy wyrębie tajgi na "lesopowalach". Matka, ze względu na słabe zdrowie, nie mogła pracować w kołchozie; pracowała więc w tamtejszym "Rybozawodzie", wiązała sieci. To była taka rybacka spółdzielnia - czy coś podobnego.

W Połudionowce było nas, Polaków, 75 osób - więcej niż miejscowej ludności! Prócz nas /7 osób/, pamiętam rodziny: Kiryłło, 3 osoby, Kwiek - 6 osób /ojciec ich zmarł na Syberii/, Bołbot, Zaremskie - 3 osoby /matka i 2 córki/, Kasacy: matka, 2 córki, syn Paweł i niemowlę,

Wyżywienie - wiosną, latem i jesienią - to było "z kotła"; gotowała specjalnie zatrudniona kucharka, dla wszystkich pracujących na polu - śniadania, obiady i kolacje. Oczywiście wszyscy się schodzili do tego kotła ze swoimi miskami, i czym kto miał.

Późną jesienią w kołchozie było rozliczenie, i na "trudodni", za zarobione dniówki dostawaliśmy mąkę, przeważnie tylko mąkę, bo kaszę rzadko kiedy się dostało.

Zimą, jak się pracowało przy wyrębie lasu, czy też w kołchozie, kiedy nie było "kotła" - to dostawaliśmy po pół kilo chleba na pracującego. Na niepracujących, t.zw. "iżdiwieńców", wydawali początkowo po 30 dkg chleba, a potem już po 15 dkg. Przypominam sobie jednak, że zimą na wyrębie lasu też był "kociół": trzy razy dziennie woda zasypana mąką razową, t.zw. "pochliobka". Przydziałowe pół kilo chleba otrzymywaliśmy raz w tygodniu na cały tydzień. Ile się zjadło - to się zjadło, a potem - kto swój przydział zjadł - to tylko na tej zupce z mąki "jechał". Nic więcej do jedzenia nie było.

Czasami coś można było od Rosjan wytargować, jeśli miał kto co

sprzedać. Oni mieli ziemniaki- bo mieli swoje małe ogródki przyzagrodowe; mieli więc ziemniaki, trochę warzyw, mleko- bo ci starzy kołchoźnicy trzymali krowy. To od nich się czasem coś "dostało", prze- ważnie jak się sprzedawało jakieś "łachy", t.zn. ubrania- bo wysprzedawaliśmy się ze wszystkiego. Jak się dostało za coś wiadro kartofli, to potem się po kartofelku liczyło na jedzenie, aby tylko "zupę" zagęścić, aby na dłużej starczyło. Ani my, ani inni Polacy, nie otrzymaliśmy działek ziemi.

Po "amnestii" odbyły się wybory Męża Zaufania, ale nie pamiętam, kto nim został, bo to było w Białym Jarze. Zdaje się, że u nas w Kołchozie przez jakiś czas załatwiał te sprawy p. Kiryżko. Raz tylko dostaliśmy pomoc od Męża Zaufania- to było wtedy, jak utworzono Wojsko Polskie; z Ameryki przyszło po kilka łyżek mąki po kilka łyżek smalcu na osobę. Cukru chyba wcale nie było- tylko mąka i smalec. Pie- niędzy nie dawali. Przyszła i odzież- na Biały Jar; były tam jakieś skarpetki, jakieś sweterki i spodnie itp. Ale tam gdzie myśmy byli to z tego wszystkiego wynikła wielka afera! Nie dotarła odzież, nie dotarła żywność, i podobno NKWD cały ten Komitet z Białego Jaru "posadziło". Okazało się, że wyszła z tego afera, oni to wszystko "na lewo" sprzedawali, to czego nie dali ludziom. I wszystkich z Białego Jaru "posadzili". "asi się tacy okazali! Było to w tym czasie, ~~który~~ jeszcze przed wyjazdem Wojska Polskiego za granicę. Przyszła ta pomoc, ale była bardzo nieuczciwie rozdzielana. W samym Białym Jarze to się jeszcze jakoś Polacy "dobijali" /upominali/, ale w kołchozach, rozrzuconych 15- 30 km od Białego Jaru, to już wogóle nie mieli żadnych szans, żeby coś dostać.

"pobliżu nas były tylko te dwie miejscowości: Rybińsk i Bieżyj Jar; Bieżyj Jar przed nami, a Rybińsk- za nami. Innych osiedli nie było, między Połudionówką a Białym Jarem nie było nic. Do Białego Jaru dostawaliśmy się na piechotę, leśną drogą, wyjeżdżoną. I tu piechotą, i do Rybińska piechotą. Potem, jak byliśmy na Kaukazie, to też się i 40 km piechotą chodziło.

Pierwsze Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy na "lesopowale"; 25 km od Połudionówki. Mimo gróźb ze strony NKWD, świętowaliśmy je w miarę możliwości uroczystie.

Jak już wspomniano, kołchoźnicy mieli własne krowy, mieli swoje mleko i sprzedawali je Polakom. Podczas przygotowań i pakowania rzeczy w dniu wywozu każdy starał się brać ze sobą jak najwięcej ubrań; mniej uwagi zwracało się na pościel, jak na ubrania, bo każdy wiedział, że za ubrania to potem można żyć- i tak było. Potem, do samego wyjazdu, sprzedawaliśmy potroszce to to, to tamto- każdy jednak miał coś, i tym sposobem się dożywał.

Nie mieliśmy jednak ubrań "porządnych"- dostosowanych do tutejszych warunków klimatycznych. Dopiero tu na miejscu zdobywało się jakimś sposobem fufajki. Na nogi, zamiast butów- odziewało się "czerki". Było to obuwie sporządzane ze zwykłej surowej skóry, obojętne- z krów lub cieląt; co padło w kołchozie, to skórę z tego rozdawali pracownikom. Szyło się z tego przyszwyy, jak do buta, chodak a dalej cholewkę; naciągało się je ~~xx~~ mokre na nogi, dając do środka mocno siana- i było w tym ciepło. Siano było w środku, to po wyjściu na mroz obuwie zamarzało na kość, powietrze nie dochodziło i było ciepło! Na zimę trzeba było mieć ich ze trzy pary, bo gdy się gdzieś uszkodziło, to zaraz była dziura. Nie było mowy o kupnie żadnego obuwia! Miejscowi to mieli pimy- takie walonki, grube, "bite". Nie wiem jakim sposobem oni je dostawali czy kupowali. Chodzili w tych walonkach grubych, białych albo ciemnych. Na Kaukazie też później miałam takie pimy, bo można było dostać. Tutaj pimy dawali przeważnie w nagrodę za dobrą robotę, jak się ktoś dobrze sprawował. Jak się mogli nie sprawować, kiedy się wyganiali do roboty! Takie pimy przeważnie starczały na kilka sezonów, ale dużo młodych osób chodziło tylko w "czerkach", w tych "mokrych butach". A na górę /na tułów/- to u - bierali fufajki.

Wielkim utrudnieniem w tutejszym życiu był klimat. Latem była taka nieprzebrana masa różnych komarów, moszek czy muszek, bąków i gzów, że nie można się było od tego opędzić. Chodziliśmy zakutani od stóp do głów, dosłownie, w taki upał; człowiek miał zawiniętą szyję, a na głowie- założoną siatkę, posmarowaną dziegciem. Tutejsi mieszkańcy mieli siatki na twarz z gazy, a dalej osłonę z materiału na czubku głowy, a myśmy to zszywali z jakichś starych firanek po - przywołanych z Polski- tu na przód głowy, tam gdzie jest twarz. Smarowaliśmy to mocno dziegciem; chwalić Boga, tego dziegciu nie brakowało w kołchozie. Ręce i nogi smarowało się też dziegciem, a ponadto mieliśmy mieliśmy ręce i nogi pozawiązywane. Nogawki w kostkach u nóg, oraz rękawy w przegubach dłoni przewiązane były sznurkami. Były to wszystko łachy dziadowskie, trudno opowiedzieć, jak to wszystko wyglądało! Ale dzięki temu dziegciowi jakoś obroniliśmy się.

Prócz tego, gdzie tylko człowiek zatrzymał się na chwilę, rozpałało się wielkie ognisko i kładło się na nie masę mchu, mokrego drzewa, żeby było dużo dymu; to był jedyny ratunek przed komarami. W kołchozie, jak się przychodziło wieczorem do domu, to przed każdym domem dymiło takie kadzidło. W jakichś starych skorupach, w czym się dało, ponakładano pełno węgla i śmiecia, aby tylko było dużo dymu- i tym się ratowaliśmy. A komary to były takie opite, że każdy

miał odwłok jak główki z trzech szpilek razem wziętych, takie opite krwią! A człowiek to się "na okrągło" drapał, bo mimo tych wszystkich zabezpieczeń to Świnstwo i tak wszędzie wlażło, i nie było na to ratunku. W wodzie i wszędzie było tego pełno, bo to się topiło.

Z innych insektów należy wspomnieć o wszach i pluskwach. Wszy nas nie oblegały, ale pluskwy- to były. Tam nie było mieszkania żeby nie było w nim pluskiew! I to takie okropne, bo to wszędzie wlaży, wszędzie! Na suficie, na ziemi, na podłodze, w meblach i gdzie tylko! Tam nie było dnia bez pluskiew i bez walki z nimi. To się je paliło, to się kopcisko, różne ciecze nalewało, jakimś tam żugiem wypalało- ale to i tak gryzły nas te pluskwy bez miłosierdzia. Gryzły i nie było rady.

Wodę braliśmy częściowo z rzeki, a gdzieś tam były i studnie. W naszym kołchozie była studnia, ale odległa od kołchozu jakieś półtora kilometra, i trzeba było wodę donosić. W samym kołchozie były też studnie, ale płytkie, to nie pozwalali z nich wody brać. Nie każda woda była dobra- jedna była podskórna, to nie była dobra, bo to tajga, błoto; inna woda była dobra- ale trzeba było po nią iść te półtora kilometra. Zimą to się czasem śnieg topiło; różnie to bywało. Nie pamiętam, jak to się dobywało mycie codzienne, ale kąpać- to kąpaliśmy się tylko latem. We wsi była "ruska bania" /łaźnia/, ale nasi Polacy nie byli do niej przyzwyczajeni. Myśmy nawet sami palili w tej łaźni, bo była ustalona kolejka, dyżury były i Polacy też brali w tym udział, ale przeważnie chodzili tam kołchoźnicy; oni byli do tego przyzwyczajeni, że idą tam, do tej łaźni, i się parzą- a tutaj u nas na domiar złego nie było mydła. Nie było mydła, bo skąd miało być? Tośmy gotowali z popiołu żug, i tym żugiem się myliśmy, a twarz- to się myło bez mydła.

W rok po przyjeździe na Sybir, w 1942 r jesienią zmarł mój brat Tadeusz/rocznik 1923/. Zaziębił się przy łowieniu ryb; leczyli go najpierw w szpitalu w Rybińsku- bo to był większy ośrodek, nie taki kołchoz jak nasz, ale to leczenie nic nie pomogło. We wrześniu 1942 r przewieźli go do szpitala w Kołpaszewie, i tam zmarł. Brat zmarł na gruźlicę, ale to wszystko powstało z zapalenia płuc po przeziębieniu. Zapalenie nie było należycie leczone, wywiązała się gruźlica, ponieważ brat był jakiś "słaby" na płuca. I w Kołpaszewie zmarł w listopadzie 1942 r. Nikogo z rodziny przy nim nie było. Nie został nawet nigdzie pogrzebany! W Kołpaszewie było bowiem tak, że chorych, którzy zmarli w szpitalu nie grzebano na cmentarzu. Niedaleko szpitala był głęboki jar, przepaść, i wszystkie ciała tam

spuszczali, jeżeli ktoś z rodziny się po nie nie zgłosił do szpitala. Kołpaszewo było odległe 300 km od kołchozu, i nie było mowy o tym, aby brata przewozić, bo nawet nie było transportu, i nikt by na to transportu nie dał. Ledwie z wielkim trudem udało się go do tego szpitala odwieźć, bo tam nie było innego transportu, tylko transport rzeczny. Leżał tam w szpitalu i zmarł chyba w listopadzie, a rzeka już wtedy stała, i transportu nie było. Zimą te 300 km saniami nie można było jechać. Długo w tym szpitalu w Kołpaszewie nie leżał - bo jak go latem zawieźli, to jesienią umarł. To była sprawa beznadziejna, bo gruźlicy i tak nikt nie leczył.

Tęgo wszystkiego dowiedzieliśmy się później, gdy pracowałam na oddziale zakaźnym w tym samym szpitalu. Umarł, wywieźli, ciało wyrzucili - i na tym się skończyło.

Prócz mego brata, w Połudionowce zmarły jeszcze chyba cztery osoby. Pamiętam starszą panią Zaremską, i Bołbota-ojca, który zmarł na tyfus. Prócz tego zmarło jeszcze dwoje na tyfus, ale nie pamiętam ich nazwisk. Jeden - to był chłopak, miał chyba ze 13 lat, i jeszcze jedna osoba dorosła. Osoby, które zachorowały na tyfus, zmarły w 1943 r, w późniejszej niż mój brat.

Przypomniał mi się jeszcze jeden ciekawy epizod z pobytu w kołchozie w Połudionowce. W 1943 r, po tym, jak Anders wyprowadził Wojsko Polskie za granicę, przebywaliśmy właśnie jakieś 20 km od Połudionowki. W nocy przyjechało NKWD. "Wszyscy Polacy - zbierać się! Jechcie do centrali". Nie wiedzieliśmy, co się stało? Okazało się, że to było w związku z tym, że gen. Anders wyprowadził naszą armię. Zabierają nam polskie dokumenty, a dają rosyjskie paszporty na 5 lat. Że my nie mamy żadnych praw Polaków, jesteśmy na rosyjskich paszportach, zupełnie im podporządkowani!

Nas było wtedy z 15 osób młodszych, na wyrębie lasu - ale jak to młodzi - coś nam do głowy strzeliło, że nie chcemy ruskich paszportów na 5 lat. Dowiedzieliśmy się bowiem, że jeszcze pozatym wydają na pół roku zaświadczenia o tym, że się jest Polakiem, tymczasowe zaświadczenia zamiast paszportu. Uparliśmy się, że chcemy te zaświadczenia, nie paszporty, a oni się uparli, że musimy wziąć paszporty. Z początku nas prosili, herbatką częstowali itp, ale gdy nic nie pomogło, to wszystkich nas zamknęli do piwnicy, całą noc przetrzymali i rano znowu zaczęli pertrkatować, że my musimy uznać te ruskie paszporty. "yśmy się jednak uparli, i mimo tego, że nas zmuszali, doszło do tego żeśmy dostali te tymczasowe zaświadczenia. Rozeszliśmy się bardzo zadowoleni z siebie, żeśmy wywojowali, że nie jesteśmy poddanymi na 5 lat, tylko na 6 miesięcy - że to jeszcze wytrzymamy! I na tym się zakończyła nasza utarczka z władzą.

Zabrali nam nasze polskie dokumenty /amnestyjne/, a dali rosyjskie i na tym się skończyło. Na tych tymczasowych zaświadczeniach dojechalismy do Polski; na granicy zaświadczenia pozabierali, a zostawili tylko karty repatriacyjne.

## 2. T o g u r - K o ł p a s z e w o .

Gdy w 1943 r z kołchozu wzięli paru naszych chłopaków do wojska/ Armii gen. Berlinga/, to kołchoz musiał dostarczyć do Toguru kilku pracowników do tantejszego tartaku. Między innymi zostałam wytypowana ja i jeszcze jedna Polka, oraz dwoje czy troje Rosjan. Przebywając w kołchozie, nie więdzieliśmy że można się "obracać" /poruszać/ w obrębie Kołpaszewskiej "obłasti" /właściwie okręgu Narymskiego CB/, bo nam w kołchozie mówili, że nie można się poza kołchoz wychylić. Ale ja się w Togurze dowiedziałam, że możemy tam zostać, i nie wróciłam do kołchozu, chociaż predsiedatiel z tego kołchozu przyjeżdżał kilka razy i mnie straszył, że mnie posadzą, że to, że tanto- ale nie mieli, jak się okazuje, żadnego prawa. Koleżanka, Stasia Kwiek, która z nami tu była, wróciła do kołchozu bo się bała- i trzeba trafu, że jeszcze tej samej zimy ją drzewo w lesie przygniotło i przytłukło tak, że ledwie żywa z tego wyszła. Bała się ze mną zostać w tym tartaku.

Mieliśmy w tartaku chyba z miesiąc tej przymusowej roboty z kołchozu, ale pracowałam jeszcze dwa miesiące. Musiałam bowiem podpisać zobowiązanie, że zostanę w tartaku dłużej pracować, to wtedy wolno mi było tam zostać. Zobowiązanie podpisałam, ale ta z kadr poszła mi na rękę i już po dwu miesiącach mnie zwolnili- bo ja u niej mieszkałam.

W tartaku pracowałam jakiś czas w zakładowej łaźni. Wodę nosiliśmy z rzeki wiadrami, i potem na zmianę pilnowało się ciśnienia w kotłach. Nie mieli beczkowsów, bo to było dwa kroki od rzeki. Na zmianę, było czterech pracowników z wiadrami, którzy nosili tę wodę. Nabierali wody z rzeki do wiader- i do góry, do kotła.

Potem pracowałam na "taborze"- tam gdzie układali drzewo w "stogi" /sztaple/. To były kłody drzewa. Wyciągaliśmy je hakami, ciągnęli i krzyczeli "Wniestie dziorniem, wniestie piorniem!" Mówiono, że to było "na taborie" /na składowisku/. Samo wyciąganie dalej odbywało się "prądem". Na dole, gdzie się belkę zaczepiało do liny, stał jeden pracownik, a na górze drugi. Ten na dole, który zaczepiał kłodę, włączał prąd i lina ciągnęła kłodę do góry /nawijana na bęben poruszany silnikiem elektrycznym, CB/. Na górze stał drugi pracownik, odczepiał kloc i krzyczał, że już odczepione- i lina schodziła

z powrotem na dół. I znowu następny kłoc, i znowu go na górę. Pracowałam więc na zmianę- albo tam<sup>w tamtym</sup> albo tutaj, po kilka tygodni.

Pnie do samego tartaku, do pił, dowozili Tatarzy, małymi syberyjskimi konikami zaprzężonymi do wózków na szynach. W tartaku istniało odrębne pomieszczenie do palenia papierosów- "kuriłka". Zarabiałam tam około 150 rubli miesięcznie.

Przez jakiś czas mieszkałam w Togurze w "Konsomolskom obszczesziti" /internacie konsomolskim/- oddanym na ten czas dla zakwaterowania Polaków; mieszkali tam również pp. Ludyniowie i p. Bajra - szewska.

Po dwu czy trzech miesiącach pracy w Togurze, zimą ; chyba w listopadzie 1943 r przeniosłam się do Kołpaszewa; otrzymałam tam pracę w szpitalu, jako sprzątaczką. W czasie mego pobytu , gdy pracowałam w szpitalu, bardzo wielu ludzi umierało- i Polaków, i innych wywiezionych, i miejscowych Ruskich. Pracowałam na oddziale tyfusu brzuszego i plamistego, i chociaż epidemii w tym czasie nie było, to ciągle było pełno chorych na tyfus. I nie było ratunku! Były zastrzyki, którymi nas szczepili. Obok nas był drugi oddział, gdzie też pracowaliśmy- tam była szkarlatyna. Dzięki temu, że nas szczepiono, to nie zachorowaliśmy, ale bardzo wielu ludzi umierało. Po - tem do tego w naszym oddziale doszły jeszcze zgony z powodu głodu. Było tam bardzo dużo Niemców z Nadwożża, którzy ginęli z głodu; przywozili ich popuchniętych, na wymarcie. Nie leczyli ich, tylko leżeli w tym szpitalu aż do końca. Łotysze, Liwtwini- ci też umierali z głodu; przywozili ich, jak już byli nieprzytomni.

W Kołpaszewie mieszkałam w domu szpitalnym, przy drodze do lotniska, bliżej lotniska. Dom składał się z dużego pokoju i kuchni. Mieszkały tam ze mną jeszcze dwie rodziny polskie, ale już nie pamiętam ich nazwisk. Droga do lotniska wiodła przez pola, a w pobliżu nas była łaźnia miejska , na tej samej ulicy, bliżej przystani.

Z całej naszej rodziny mieszkałam w Kołpaszewie i pracowałam w szpitalu tylko ja jedna, bo wtedy, gdy nie wróciłam z Toguru do kołchozu- cała rodzina została nadal w Połudionowce . W 1944 r. rodzina została przewieziona na Ukrainę, gdzie pracowali w ziarnosowchozie<sup>\*)</sup>, a ja zostałam wywieziona na północny Kaukaz, z całym transportem Polaków z Kołpaszewa.

Polacy, przewożeni z Połudionowki, Rybińska czy z Białego Jaru przejeżdżali przez Kołpaszewo, i wielu w tym czasie mieszkało w naszym domu, tak że było teraz więcej ludzi niż miejsca w pokoju. Koczowali tak chyba z tydzień, zanim pojechali dalej. Przejeżdżali przez Kołpaszewo i wysyłali ich gdzieś dalej. W Kołpaszewie następował rozdział, nie wszystkich puszczali z przystani do miasta.

Byłam tam wtedy na przystani, widziałam się z rodziną- ale nie pozwolili aby się połączyć- nie dało rady! Bo to przecież były inne listy /wykazy/! Nas potem innym transportem wysłali, a ich innym. Innej drogi rzecznej z Białego Jaru nie było- tylko przez Kołpa - szewo.

### 3. K a u k a z .

W końcu maja 1944 r. wyjechaliśmy transportem z Kołpaszewa na Północny Kaukaz. Przed wyjazdem chodziliśmy z Piotrem Słomińskim i sporządzaliśmy spisy Polaków; pamiętam, że było około 450 osób. Na drogę wydano nam z jakichś centralnych magazynów mąkę i smalec, więc napięliśmy sobie placków, takich z wody i mąki.

Droga była urozmaicona, bośmy jechali już swobodnie, nie tak jak na Sybir. Też w towarowych wagonach- ale nie było takiego zagęszczenia. Do Nowosybirsku płynęliśmy statkiem, i w Nowosybirsku była kwarantanna, staliśmy tu chyba ze trzy dni. Spotkaliśmy tam Kałmyków, których wieźli na nasze miejsce na Syberii. Pamiętam tę kwarantannę: były tam duże baraki, bardzo duże; przebywaliśmy w nich chyba ze 3 dni. Przeszliśmy przez kąźnię i odwszalnię. W barakach były pojedyncze nary, na których nic nie było- każdy co miał, to sobie pościelił, i spał. Nary były wykonane z desek.

Wielu Polaków tam się znowu spotkało- tych, którzy potracili kontakty od 1941 r ; teraz mogli je nawiązać, bo trzy dni- to dużo, zwłaszcza że nie było nic do roboty, a jedzenie nam tam dawali. Wiem że były posiłki- ale nie pamiętam co nam dawali. Tam spotkałam panią Pełczyńską, oraz rodzinę Dębskich- Tamarę i Irkę z Kołpaszewą; dopiero tam z nimi się spotkałam, bo poprzednio nie wiedziałam, gdzie ich szukać.

Potem trafiliśmy do jednego sowchozu, nr 104, na północnym Kaukazie. Tam w sowchozie to już cała moja tragedia się skończyła, bo nie miałam problemu ani z jedzeniem, ani z pićm, ani z ubraniem, z niczym! Bo trafiłam od razu na tok.

Przyjechaliśmy w maju, i niedługo potem były zbiory, żniwa. Cały czas pracowałam na tokach, t.zn. przyjmowałam z kombajnów zboże i odsyłało się je do magazynów. Tak się szczęśliwie złożyło, że całą kampanię żniwną przepracowałam na tych tokach. Okazało się potem, że mnie chcieli "wrobić"; okazało się, że są zawsze niedostatki, że są braki- ale w końcu wyszłam "na swoje". Okazało się nawet, że mam <sup>tylko</sup> 4 m<sup>3</sup> nadwyżki zboża, chociaż wszyscy kradli na prawo i na lewo! Miałam szczęście, bo gdyby mi zostało za dużo, to by mnie posadzili, a gdyby brakło- to też by mnie posadzili. Ale jakoś potem



w ogólnym rozrachunku to miałam niewielką nadwyżkę. Chociaż to na pewno była nieprawda, bo tam nigdy prawdziwych danych nikt nie widział!

W sowchozie 104 było dużo Polaków, ponad 50 rodzin. Nie pamiętam, kto był przewodniczącym Związku Patriotów Polskich- nie mam teraz pamięci do nazwisk; pamiętam tylko tych, z którymi mieszkaliśmy: to była rodzina Dębskich i Pełczyńska.

W sowchozie mieszkaliśmy w normalnych domkach, przeważnie w bępiankach. Oprócz lepianek były też normalne budynki, z drzewa, tylko dla ocieplenia okładane jakimś nawozem. Prócz tego były ziemianki, wykopane w ziemi, i taką ziemiankę zajmowała jedna rodzina. Ale ja nie mieszkalam nigdy w ziemiance, chociaż tam było podobno zimą cieplej. Bo zimą na Kaukazie nie było wcale tak ciepło- trzeba było dobrze palić, żeby było ciepło w mieszkaniu. Wiały takie niesamowite wiatry!

Gdy już skończyłam z tokami i z przyjmowaniem zboża, to- ponieważ miałam za sobą kurs księgowości- dostałam się do "kantory" /biura/ i pracowałam jako "szetowod"/rachmistrz/ już do samego końca. Kurs księgowości, taki parumiesięczny- ukończyłam przed wojną w Polsce. Ucząc się w Grodnie, równocześnie- nie wiem dlaczego- miałam zrobiony kurs księgowości. Jeszcze jako młoda dziewczyna bardzo lubiłam księgowość.

Przez ostatnie dwa lata, od jesieni 1944 r. do samego wyjazdu w 1946 r. pracowałam jako "szetowod", t.zn. prowadziłam całą fermę Nr 1. Miałam więc pracę umysłową. Potem, za dobre przeprowadzenie kampanii żniwnej dostałam nagrodę: walonki, grube, bardzo ładne, oraz dwa metry pszenicy! Nasi Polacy za tę pszenicę mnie ubrali i odziali; miałam więc już okrycie na zimę i na lato. Potem pojechałam na rynek do Elisty, to sobie kupiłam buty, i na wiosnę pantofle, takie do chodzenia, bo tam boso nie można było chodzić, gdyż było tam bardzo dużo żmij, na Kaukazie. Nie było drzew, nie było niczego, a jak się szło po drodze, to wpoprzek drogi żmije się kręciły jak jakie gałazki. To były jadowite żmije, które nawet do mieszkań wchodziły.

Jak przeszłam do "kantory", to zarabiałam 150 rubli na miesiąc, a ponieważ tam na fermie były cztery zarodowe stada krów, to miałam stantąd masło, mleko, ser i jajka. Tylko chleb nie dochodził. Zamiast pół kilo przydziałowego chleba, dawali 0,35 kg mąki. Przywozili ją raz na tydzień, ale ponieważ mieszkalam z magazynierem, to na tej mąki nigdy nie brakowało.

Tak więc- gdy dostałam się na północny Kaukaz, to już miałam

dobrze życie! Jak na tamtejsze warunki, to byłam uprzywilejowana, bo ani się mocno nie napracowałam, ani się nie namarzałam- tylko do samego wyjazdu pracowałam w biurze. Lubiłam tę robotę, i całą zimę, jak było ziano, to nie siedziałam na fermie, tylko w centrali, i robiłam bilans roczny, i tam pomagałam w księgowości.

W sowchozie była szkoła, w centrali- była to rosyjska szkoła, ale polska nauczycielka. Uczyła ona po polsku, ale nie pamiętam, jaki był rozkład zajęć.

Ja miałam też wezwanie, chyba z ZPP; przyszło do mnie pismo, że mam się zgłosić na nauczycielkę do polskiej szkoły, do sierocińca /zapewne w Ipatowie, CB/. Był podany adres, gdzieś koło Krasnodaru. Niestety, kierownictwo sowchozu mnie nie puściło. Powiedzieli, że mnie nie puszczą z sowchozu, bo jestem tu potrzebna, mam odpowiedzialną robotę! Było u mnie ze dwa razy NKWD, i musiałam zostać, dałam spokój. Przyszło jeszcze kilka pism ze Związku Patriotów w mojej sprawie, ale zostałam tu do końca.

W lutym 1946 r przyszło zawiadomienie o repatriacji, nie pamiętam skąd. Gdy przyszło to zawiadomienie, że wyjeżdżamy, to- charakterystyczne- momentalnie zmienił się stosunek Rosjan do nas. Jak byli przedtem serdeczni, mili i uprzejmi- tak się zrobili z miejsca obcy, wrogo jakoś nastawieni. Czy to była zazdrość, czy co- że wyjeżdżamy? Chyba zazdrość, bo rozstaliśmy się nie zabardzo przyjaźnie. Oni odprawili nas z niezbyt przyjaznym nastawieniem: "A zabierajcie się, zabierajcie!"

W tym czasie, gdy przebywaliśmy na Kaukazie, przyszła pomoc: różne materiały na sukienki, jakiś materiał nie wojskowy, taki niby harcerski. Przyszły przydziały, abyśmy nie jechali goli i bosi do Polski. Każda uszyła sobie spódniczkę czy sukienkę. To były jakieś takie materiały typu wojskowego, tylko w kolorze szarym. Jak już jechaliśmy, to każdy miał co na siebie włożyć. A przedtem- to tylko łach na tyłku!

/Obecna przy nagrywaniu p. Janina Michalik pokazała przechowywaną z tamtego czasu koszulkę syna, Zbyszka, wykonaną właśnie z takiego materiału/.

x/ Uzupełnienie do str. 7: Matka z resztą rodzeństwa przebywała w ziemnosowchozie nr 2, "Adczyński r-n, obwód Woroneż,

#### 4. K o n i ę c t u ł a c z k i .

Wróciliśmy do Polski; matka też wróciła, z braćmi i siostrą. Jechaliśmy przez Przemyśl, i potem transport rozdzielono: część pojechała na Ziemię Odzyskane, a kto miał gdzie jechać, do rodziny, to jechał do domu. Tak było w naszym przypadku, ponieważ Ojciec się odnalazł! Gdy zaczęła się wojna rosyjsko-niemiecka /1941/ rozbito baraki i więźniowie powychodzili. Ojciec przez cały czas okupacji przebywał na miejscu, w Krynkach, mieliśmy więc dokąd wracać. Wróciłam do Krynek, a potem stamtąd, po dwu miesiącach wyjechałam do Łodzi, i od 1946 r. mieszkam w Łodzi.

Rodzina też wróciła z Woroneża; oni wrócili wcześniej od nas, bo ich transport <sup>przyjechał</sup> już na początku marca, a myśmy wrócili dopiero pod koniec marca. Spotkaliśmy się więc wszyscy w Krynkach. Ostatnią część drogi jechałam z dziewczynką - Krasuska - która dołączyła w Przemyślu. <sup>z Bond Dziecka</sup>

Z Syberii nie wrócił jedynie brat - Tadeusz, i nie ma tam nawet jego mogiły.

Ł ó d ź, dn. 2 maja . 1992 r.

*Teresa Gołębiowska*  
Teresa Gołębiowska .

Wspomnienia nagrał na taśmie magnetofonowej dn. 29.09.1991 r.,  
opracował maszynopis ,uzupełniając go mapkami - dr C. Bazan.

Można udostępniać po 1 maja 1995 r.

Wrocław, 3.05.1992 r

*C. Bazan*  
C. Bazan





Trasa transportu 1941-1944-1946

1 cm = 300 km